

## MALL

*„pamiętając o tych co utonęli w podmiejskich pociągach o piątej rano (...) w obliczu szaleńców w supermarketach o piątej po południu (...)”<sup>1</sup>*

Mieszkam obok mallu. Wracając do domu jadę tramwajem, w jednym z dwóch wagoników, terkoczących, jak kolejka, którą mój mały brat dostał kiedyś na Mikołaja. Fiu, fiu, gwizdała ciuchcia, bam, pam, rozlega się klakson, odgrzający mrówce, tej stojącej na szynach, z wyrazem zakłopotania na twarzy. Mrówka niepewnie wycofuje się w gromadę innych, a z okienka tramwajarz wykrzykuje życzenia wszelkiej pomyślności. Jadąc, z nosem z dala od szyby, co najwyżej przecierając ją rękawiczką, przyglądam się prostokątnym budynkom. Takie same układaliśmy z klocków, ja i moi kuzyni, spiętrzaliśmy je, aż się zaczynały chwiać, traciły równowagę i rozbiegały się na wszystkie strony. Tu rozbiega się tylko perspektywa, masywy stoją nieruchome, a jednak nie czuję się dziwniej, niż wtedy, gdy na środku pokoju, przed Wigilią, budowaliśmy podniebne miasto, nie wiedząc jeszcze, że ono gdzieś już istnieje.

Obok mallu. Czy to takie znowu istotne? Mieszka się zawsze tu czy tam, obok cmentarza, szkoły, parku, stacji. W żaden sposób nie mogę czuć się wyróżniona ani ukarana. Jak wszyscy wracam do domu, gdy robi się już ciemno. Przebiegam przez plac zabaw, furteczka z jednej, furteczka z drugiej strony, to wszystko, by utrudnić psom dostęp do ubikacji, kwadratu piasku, w którym tak chętnie bawią się dzieci. Nie mam dzieci, choć jestem już stara, patrząc na to w kategoriach sprzed pół wieku, powinnam już dawno być

---

<sup>1</sup> *Trudna praca*, H.M. Enzensberger.

otoczona gromadką, ale nie, nie mam i nie wiem, czy w ogóle będę mieć. Nie mam ich, więc nie dbam o to, co dla nich najlepsze i kiedy spod okna dobiegają okrzyki lub piski zabaw, rozmyślam tylko o tym, by zainstalować dźwiękoszczelne szyby i skuteczniej odgrodzić się od tego, co jest kolejnym, niepożądanym odgłosem miasta.

Nie mam dzieci, czemu, sama właściwie nie wiem, może z lenistwa. Nie czuję się bynajmniej *spętana ciemnym instynktem macierzyństwa*<sup>2</sup>, co najwyżej, zakłopotana jego brakiem. Czasem, gdy o tym rozmyślam, a nie jest to częste, do głowy przychodzi mi pewna historia - badania na szczurach: stodoła pod San Francisco, stworzone mini-miasteczko, symulacja zatłoczenia. Pamiętam: przestały się rozmnażać i po siedmiu latach cała kolonia wyginęła. Presja, zmęczenie, niechęć. – *Szczury nie czują niechęci. Wyższe i złożone uczucia nie są im dostępne. Jak możesz w ogóle, porównywać, dwa, tak odmienne rodzaje bytów i jeszcze, próbować przekładać wnioski z ich zachowań, na ludzi? Bądźmy szczerzy, nawet jeśli są inteligentne, z pewnością nie mają zmysłu, pozwalającego im pojąć różnicę między hip hopem i Rachmaninowem.* – Mój ojciec na fotografii. Trzyma skrzypce. Powiesiłam go nad łóżkiem, może niepotrzebnie. – *Słuchaj – mówię – ja też już nie pamiętam, kim był Rachmaninow. I w czym właściwie miałby być lepszy od Public Enemy. Nie patrz tak na mnie, nie mam zmysłu muzyki. Może to przez twoją zachłanność, zagarnąłeś wszystko i dla mnie już nic nie zostało. Nie mam żadnej amortyzacji.*

Właściwie to nie jest mój ojciec, tylko, jakiś, bliżej nieokreślony, skrzypek, twarz, tak samo nic niemówiąca, jak tysiące innych. Kupiłam go w Ikei, błękitny odcień tła wydawał się dobrze pasować do ściany w pokoju. Od wczoraj sypie śnieg. Na parapecie kozuch, na ulicach breja. Na wycieracze gazeta, z której wynika, że w tym sezonie modne są kozaczki z motywami

---

<sup>2</sup> *Odwaga*, A. Świrszczyńska.

pasterskimi, koniecznie z ekologicznej skóry, mufki z kolorowym futrem i czapki z pomponami. Wszystko w niezwykle korzystnych cenach. Robię grzanki. Te same, co zawsze, masło, ser żółty. Minimum wysiłku, maksimum satysfakcji. Pewnie w ten sposób reklamuje się opiekacze do chleba. – *Wyjedź – kusi skrzypek – w miejsce, gdzie nic się nie wdziera do umysłu, gdzie można docenić dźwięk, czysty i niezakłócony. Tu nawet muzyki nie da się słuchać w pełnym skupieniu.*

Niczego nie da się tu robić w pełnym skupieniu. Miasto uderza na wielu frontach, wchodzi w ciało wszystkimi zmysłami. Rano, rozpoczyna swoją ofensywę, jeszcze w windzie, zapachem pana z siódmego piętra i perfumami pani z piątego. Gdy idziesz do tramwaju, narasta kakofonia dźwięków, coś warczy, terkocze, z każdym krokiem natrętniej i jeszcze w tle ta stała, nisko nachylona linia dźwięku, trasa wtę-wewtę, trzy przecznice dalej. Buty oblepia ci błoto przemieszane z solą. Stajesz na przystanku, próbujesz nieporadnie się otrzepać. – *Ależ proszę mnie nie kopać* – burczy bordowy kapelusz, który wyrasta nagle, gdzieś za tobą, więc oddalasz się, zakłopotany, parę kroków w lewo lub w prawo, byle z dala od zatłoczonej wiaty i starasz się neutralnie gapić w przestrzeń. Ale przestrzeń nie jest neutralna. Tkwi w niej cień rajstopy, kuszący zygzak, który ma cię olśnić i uwieść. Odwracasz się w drugą stronę, chcesz znaleźć kawałek burego nieba, zamiast niego spotykasz *Małgosię po jednej kostce*, garnitur zębów na brudnożółtym tle.

Siedzę w wannie. Woda koi umysł. Ścieka, skapuje. *Dobór naturalny, co też właściwie miał na myśli biedny Darwin?*<sup>3</sup> Kto to może przetrwać. Ten pęd, tę ilość, przede wszystkim. Kiedy idę na spacer do śródmiejskiego lasu, bez względu na porę, w plątaninie alejek, napotykam, ślady: miga czyjaś ręka; przez chwilę, głos, męski, zaczepia się o moją kurtkę, a może o gałęzie i wisi w

---

<sup>3</sup> *Rozmowa o Darwinie, kotce i korsarzu*, H.M. Enzensberger

powietrzu; stąkam po koleinach dziecięcego wózka; skopuję ze ścieżki zmiążdżoną puszkę; udaję, że nie widzę pary na ławce. Odwracam od niej wzrok, tymczasem inni, próbują go odwrócić ode mnie. Pani w bordowym kapeluszu, zmuszona – trąceniem, kopnięciem – do dostrzeżenia czegoś, niebędącego częścią jej jaźni, czuje się naprawdę niekomfortowo. Spotykając się z moim butem, jest tym nie mniej zdumiona, niż Alicja, oglądająca Kota z Cheshire. Uśmiech bez kota; but, który sam dryfuje po mieście. Nawet jeśli ma właściciela, to ten, rozmywa się i znika, zaraz po kopnięciu. Nic trwałego, nic osobistego.

Wrażenie stania przy oknie w rozpędzonym pociągu, oglądania migających fragmentów, towarzyszy mi, ilekroć wchodzę do gmachu, znajdującego się niedaleko mojego bloku. Tak jak mówiłam, mieszkam obok mallu. Aby wejść do niego, najpierw trzeba przejść przez plac z fontanną. Nie jest tak dostojny jak Piazza Navona z fontannami Berniniego, czy Piazza di Spagna z pnącymi się do góry schodami. W sumie, plac to plac, kawałek płaskiego terenu, na którym można się umówić i spotkać. Nic więcej. Wprawdzie ścieżki mrówek wydeptane są niemal w każdą stronę, mrówki z torbami, z dziećmi, w parach, ze znajomymi, nadal jednak jest powietrze i skrawek pomarańczowego od świateł nieba. Wystarczy, by spektakl trwał.

*(- A skoro tak, skoro zostałeś w pracy, to inna rozmowa. Sama dojadę. Wezmę te torby, zawołam taksówkę i sama wrócę. Miałam nadzieję, że...*

*- Proszę. Oto książka. Oddaję. Ale muszę zaraz wracać. Zostawiłem w środku moją dziewczynę. Przyjechaliśmy, bo chce kupić jakiś specjalny tusz do rzęs...*

*- To co, idziemy do tego kina, czy nie. Weźcie się zdecydować, bo się głodna robię. No nieee. Nie żartuj sobie. Teraz już nie będziemy jeździć i szukać czegoś innego.)*

Plac przed świątynią handlu. Dla Merkurego w Rzymie wzniesiono świątynię w okresie spadku koniunktury. Tę wzniesiono w okresie jej wzrostu. Pomimo tego, nie sędzę, by modlono się o zakończenie prosperity.

Wchodzę do środka, przez przeszklone, krągłe drzwi. Do miejsca, gdzie bije olbrzymie, połączane serce miasta. Fala ciepła otacza i unosi. Tyle twarzy, rąk, kurtek, czapek. Wszyscy idą, w lewo, w prawo, przepychają się, trącają, spieszą się i pragną. Gdzie się podziali brudni i bezdomni? Tu ich w każdym razie nigdy nie widziałam, nie pojawiła się w tłumie żadna smuga przykrego zapachu. Za to z megafonów dobywa się krzykliwe zaproszenie na bal manekinów: w tym sezonie pióra, cekiny i skórzane etole, w sezonie, z czym wam się kojarzy Szkocja, w kratkę, najmodniejszą ubrane, praktyczne i ekstrawaganckie, zima pachnie słodko, zapraszamy do salonów.

Ostatnio dostałam portfel. Piękny, skórzany, ukryty w metalowym, grawerowanym pudełku. Z jednego z tych sklepów. Teraz idę, trzymając go blisko siebie, w kieszeni, żeby nikt go nie ukraść. Idę, dzierząc pugilares, w którym może znalazłoby się ze dwa złote, a może i nie, i zaciskam na nim rozpaczliwie rękę. Mam przepustkę, drogi portfel, nie jestem już nikim. Zawsze mogę go wyciągnąć i powiedzieć, oh, chyba zapomniałam karty, przepraszam, kupię to następnym razem. A manekin uśmiechnie się do mnie spod czerwonej, włóczkowej czapki i szalika. Do których koniecznie powinno się ubrać krótkie włóczkowe spodenki i bluzeczkę z krótkim rękawem, doskonałe na spacer po mieście w grudniu, wieczorową porą.

Kilka dni temu zjadłam tu w barze dwadzieścia klopsików. Dwadzieścia małych, okrągłych, ciepłych klopsików. Grzały mnie pod sercem. Od razu dzień zrobił się jaśniejszy, a widok z restauracyjnego ogródka, bardziej pogodny. Na parterze, w theatrum, w tym czasie rozgrywał się akt: przymierzano samochód, bo teraz, jak wiadomo, już nie tylko przymierza się sukienki, garnitury, buty, ale również domy, samochody, a nawet samoloty. Czy do twarzy mi z tym skrzydłem? A ta kierownica, czy dobrze wyraża moją osobowość? Można również sfotografować się z obiektem swoich marzeń. Mężczyzna w theatrum robił sobie zdjęcie z czerwonym Chevroletem Camaro, a potem dotykał go, pieścił, w końcu, wsunął się do środka. Znudzona dziewczyna demonstracyjnie odeszła. Czekałam, aż zgodnie z regułami sztuki, opuści się w tym miejscu kurtyna z napisem: *życie jest poważne, sztuka wesola*<sup>4</sup>. Aby wszystkie elementy trafiły już na swoje, właściwe im miejsce. Nic jednak takiego się nie stało.

– Witaj – w tym roku Mikołaj przyszedł do mnie wcześniej – mam dla ciebie nowy, wspaniały Chevrolet Camaro. Dostaniesz go, zupełnie za darmo, stawiam tylko jeden warunek – bądź grzeczna. – Co to znaczy “bądź grzeczna”? – pytam ostrożnym głosem homo oeconomicus. – Nic wielkiego – mówi Mikołaj – nic wielkiego. Pracuj do późna, również w sobotę. Nie oszczędzaj niedziel, jeśli tego od ciebie zażądam. Ale nie martw się, będą komfortowe warunki. Miejsce, gdzie można sobie robić kawę. Redbulle w lodówce, do woli. Telepizza dostępna w każdym momencie. Piłkarzyki i bilard w głównym hollu, żeby zappełnić wolne wieczory. Darmowe gry i filmy, dla zabawiania umysłu w niedzielę. Od czasu do czasu, weekend dla dwojga za osiągnięcia w pracy. Oczywiście, o ile kogoś poznasz, bo w tym tłumie, wcale niełatwo, a w pracy, też nie będzie na to czasu.

---

<sup>4</sup> Friedrich Dürrematt, *Wizyta starszej pani*, akt III.

Zastanawiam się, ile byłabym gotowa dać za nowe, żółte buty. Pakt zawsze jest nierówny. Za obietnicę urzeczywistnienia marzeń Faust stawiał duszę; mieszkańcy Gülen spokój sumienia i kto wie, co jeszcze; Rafael własne życie, zamknięte w spełniającej życzenia skórce jaszczura, skrywającej tajemnicę: *z każdym pragnieniem skurczę się jak twoje dni*<sup>5</sup>. Za żółte buty mieszkańcy Gülen<sup>6</sup> zdecydowali się zabić, nikogo szczególnego, komu potrzebnego, siedemdziesięcioletniego starca. Za żółte buty i koniunkturę, za otwarcie możliwości - jedno małe życie. Nie będę ukrywać, jestem jednym z mieszkańców Gülen. Nie mam pewności, czy tym, który zostanie zabity, tym, który zabije, czy też tym, co się będzie tylko przyglądał, cicho aprobując. To nie ma znaczenia. Zabity też kiedyś pragnął i cicho aprobował, Dürrematt widział to jasno.

Wędruję pasażami Gülen. Próbuję zbadać, czym jestem kuszona. – Kiedy włączysz swój podświetlany prysznic, od razu zrobi ci się cieplej, nawet gdy będzie lecieć zimna woda. Strumień może się mienić wszystkimi odcieniami tęczy. – Najnowsza kolekcja zasłon daje wspaniałe możliwości aranżacji przestrzeni. Wykonane z cieniutkich, atlasowych sznurków, połączone z odpowiednim oświetleniem, stworzą orientalny, nieco tajemniczy nastrój, którego czarowi ulegnie każdy z twoich gości. – Oprócz wypicia doskonałej czekolady i skosztowania oryginalnego deseru, u nas możesz spróbować ręcznie robionych pralin, zanurzyć się w feerii smaków. – Czyste, naturalne zapachy. Olejki, które uczynią kąpiel niewiarygodnie zmysłową, otoczą twoje ciało białą pianą rozkoszy. – Podaruj sobie odrobinę kultury. Tu z pewnością znajdziesz coś dla siebie. Bogata i zróżnicowana oferta. Od 5.000 do 35.000 tytułów.

---

<sup>5</sup> Honoriusz Balzak, *Jaszczur*.

<sup>6</sup> Friedrich Dürrematt, *Wizyta starszej pani*

Powróciliśmy do raju, choć przecież, obiecane nam to było dopiero w dniu sądu ostatecznego. To dlatego, że ponownie stanęliśmy przed wyborem zerwania owocu z drzewa wiadomości i tym razem - nie daliśmy się skusić, zbyt rozleniwieni, by sięgnąć po jabłko, które nie zostało obrane i pokrojone, przyniesione na tacy i wsunięte nam do ust. Nie była błędem utrata Edenu, jak mniemali ojcowie Kościoła. Sprawa z Ewą wydaje się sprytnym zabiegiem służącym temu, by uzasadnić i osłodzić stratę. Jeżeli Bóg istnieje lub istniał, a przez chwilę możemy, nie stając w sprzeczności z naszym racjonalnym sumieniem, w to wierzyć, chciałby – jestem tego pewna – by bogactwo ziemskich doświadczeń, dostępne tylko poza rajską strefą, stanęło przed nami otworem. Nie po to stworzył instrument zdolny do doświadczania zarówno radości, jak i smutku, rozpaczy i gniewu, żalu i euforii, całej symfonii uczuć, by dać w niego tylko z jednej strony.

Arkadia tutejsza, nie - opiewana w eklogach, nie – wymarzona, jest studnią bez dna, w którą zapada się jak w senny koszmar, na wiele godzin (*- Nie wiem, ile mi to jeszcze zajmie. Jestem piętnasty w kolejce*) albo piekielnym labiryntem, po którym błądzi się bez końca, choć ma tylko dwa piętra (*- Już trzeci raz tędy idę. Gdzie się podział sklep, w którym oglądaliśmy wyszywane bluzki... Może się jednak na którąś zdecyduję*). Na każdego czeka, specjalnie na niego zastawiona komnata-pułapka. I nie ma Ariadny, nie ma Wergiliusza. Ale piekło trwa, niezmiennie od wieków i jego kręgi obracają się powoli.

I pełno ludzi stoi w każdym kręgu.

W pierwszym tańczą, skupieni w okręgu.

trącąc się winem, gnuśni sybaryci.

Drugi jest dla tych, których nie zachwyci

nic poza Diorem. W trzecim zaległy same grubasy,

siedzą i jedzą tłuste kiełbasy, popcorn, praliny i ananasy.



W czwartym zgłoszono świeże promocje,  
rwetes i hałas, rosną emocje. Łysy urzędnik  
długie umowy na stół wyłożył w piątym,  
– w końcu to sezon jest, kredytowy. W szóstym,  
gromady decydujących, ile mieć musi w przekątnej cali,  
plazma, by chętnie ją oglądali. Lecz aby przerwać tę monotonię,  
w siódmym nie krowy, ani nie konie, lecz za to haki,  
liny i wiosła, czapki i spodnie w kolorze khaki,  
dla tych, co wrażeń wciąż są spragnieni. Skupieni  
trwają w dziewiątym ludzie gapiąc się w ekran. Obrazki, ruchome.  
Życie? Dziękuję. Dla mnie za strome. I tak doszliśmy do dna.

Kiedy wychodzę z mallu czuję ulgę. Zawsze. Może to sprawa wielkiej liczby. Wszystko mierzone w setkach i tysiącach. W sumie, nie powinnam się dziwić. Piekło, przy takim rozroście populacji, musi być wypełnione. Tłok jako podstawowe narzędzie tortur. Z drugiej strony, może powinien stanowić pocieszenie fakt, że to, co wyczerpuje, wypala, niszczy, jest zupełnie bezinteresowne. Że to nic osobistego. Kilka pomieszczeń, centrum-agora, ruchome schody i odpowiednie zagęszczenie populacji.

Między blokami, w których mieszkam, jest kiosk. Ilekroć go widzę – zaskoczenie. Czuję się prawie jakbym spotkała sanie świętego Mikołaja albo karawan. Choć o sanie świętego Mikołaja, przynajmniej w okresie świątecznym, łatwiej. Oto zbawienie na moją miarę, mały sklepik, w którym siedzi zawsze ten sam pan, cudowna niezmienność. Czasem z młodą dziewczyną, której obecność jest przyjemnie nieuzasadniona i pozwala na snucie fantazji, na temat natury ich wzajemnych relacji. Aż chciałoby się puścić plotkę. Taką małą, lokalną, co ten pan, z tą panią i oczywiście, kiedy. Nie drążąc już, w jaki sposób. Szkoda, że nie da się kupić wszystkich niezbędnych rzeczy w tym przyjemnym relikwie PRL-u,

u pana, który rozpoznaje moją – tak, właśnie, moją, niepowtarzalną, pojedynczą – twarz.

Z mallu wracam piechotą, przez wiadukt. Nie mam siły wpychać się do zatłoczonego tramwaju. Zresztą, świeże powietrze przywraca właściwą perspektywę. Kończy się sfera *exclusive*, zaczyna się brud i nieład, starość i nędza. Nowy, wspaniały świat został z tyłu. Za to ten, w którym wszystko rozpada się i niszczy, w którym nic nie jest doskonale - skansen, wydaje się miejscem pełnym życia, spokoju i nieskończonych możliwości, również – niewybierania niczego. Idę i nucę: wolę chińskie budy, wolę chińskie budy. I twarze handlarzy, nieładne – z niewyspania, od mrozu, z przepicia.

Piszę z rozpacz. I z bezradności. Że nic nie mogę zrobić przeciw światu. I tylko kąsam jego ogon, będący równocześnie moim. Próbuję wgryźć się w nieskończoność, jak smoki w Świątyni Wang, ale sama wychodzę z tego z rozdwojonym językiem. Zachowanie jedności nie jest tym, co udaje mi się najlepiej. Nieskończoność też się wymyka, zostaje tylko ten wąski ułamek świata, na który codziennie pada wzrok. Mall, kiosk, tramwaj, widok z okna.